

Bestsellerowa autorka NYT, dla fanów Jodie Picoult

Heather Gudenkauf

Jeden krok

Jedna szkoła.
Jeden uzbrojony
mężczyzna.
I twoje dziecko.



Heather Gudenkauf

Jeden krok

Przełożyła Joanna Dziubińska

FILIA

HOLLY

Tkwią w cudownej przestrzeni między świadomością a snem. Nie czuję bólu dzięki pompie morfinowej i jestem niemal w stanie uwierzyć, że mięśnie, ścięgna i skóra lewej ręki zrosły się i że jej powierzchnia znów jest gładka i blada. Moje brązowe, kręcone włosy znów opadają delikatnie na plecy, z uszu zwisają mi ulubione kolczyki i potrafię bezboleśnie unieść oba kąciki ust w szeroki uśmiech na myśl o moich dzieciach. Tak, leki to wspaniała rzecz. Problem polega na tym, że choć uważnie przepisywana i dawkowana mi przez pielęgniarki chemia w cudowny sposób stępią krawędzie tego koszmaru, wiem, że już niedługo to przyjemne uczucie zamroczenia przeminie i pozostanie tylko ból i świadomość, że Augie i PJ są oddaleni ode mnie o tysiące kilometrów. Trafili tam, gdzie dorastałam – miasteczka, do którego obiecałam już nigdy nie wrócić, domu, którego progu poprzysięgłam już nigdy nie przekroczyć, człowieka, którego nie chciałam, by kiedykolwiek poznali.

Melodyjka dzwонka, którą Augie, moja trzynastoletnia córka, ustawiła mi w komórce, wyrывa mnie ze snu. Otwieram jedno oko, to, które nie zaschło

pod grubą warstwą maści, i wołam mamę, która musiała chyba wyjść z pokoju. Sięgam po telefon, leżący na tacy śniadaniowej przy moim łóżku, i zakończenia nerwowe obandażowanej lewej ręki krzyczą na znak protestu. Ostrożnie przekręcam się, aby podnieść telefon zdrową dłonią i przykładam słuchawkę do ucha, które mi pozostało.

– Halo? – wymawiam słowo niedokładnie, zdyszczanym i nierównym głosem, jakby moje płuca nadal wypełniał dym.

– Mama? – Głos Augie jest rozedrgany, niepewny. Nie brzmi jak głos mojej córki. Jest pewna siebie, bystra, lubi przejmować inicjatywę. To dziewczyna, która nie da rozstawić się po kątach.

– Augie? Co się dzieje? – Staram się odpędzić od siebie morfinową mgłę. Suchy język lepi mi się do podniebienia. Napiłabym się wody ze szklanki, która stoi na tacy, ale sprawną ręką trzymam telefon. Druga leży bezużyteczna przy moim boku.

– Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

Przez kilka sekund trwa cisza.

– Kocham cię, mamó – mówi w końcu szeptem i zaczyna cicho płakać.

Siadam na łóżku wyprostowana i nagle całkowicie przytomna. Zabandażowaną rękę przeszywa ból, który pnie się po karku aż do twarzy.

– Augie, co się dzieje?

– Jestem w szkole. – Augie płacze tak, jak wtedy, gdy ze wszystkich sił próbuje powstrzymać się od łez. Niemal ją widzę: głowę ma spuszczoną, długie, brązowe włosy zasłaniają jej twarz, powieki ma zaciśnięte, aby nie pozwolić łzom spłynąć po policzkach, moje ucho wypełnia jej krótki i płytki oddech. – On ma pistolet. Ma PJ-a i pistolet.

– Kto ma PJ-a? – Pierś ściska mi przerażenie. – Augie, powiedz mi, gdzie jesteś. Kto ma pistolet?

– Siedzę w schowku. Kazał mi wejść do schowka.

Nic nie rozumiem. O kim mówi? Kto mógłby zrobić coś takiego moim dzieciom?

– Rozłącz się – mówię jej. – Rozłącz się i natychmiast zadzwoń na policję, Augie, a potem od razu do mnie oddzwoń. Rozumiesz? – Słyszę, jak pociąga nosem. – Augie! – powtarzam, tym razem ostrzej. – Rozumiesz?

– Tak – odpowiada w końcu. – Kocham cię, mamo – dodaje cicho.

– Ja też cię kocham. – Oczy wypełniają mi się łzami i czuję wzbierającą wilgoć pod bandażami, które okrywają moje uszkodzone oko.

Czekam, aż Augie się rozłączy, kiedy nagle słyszę trzy szybkie strzały, po których następują jeszcze dwa, i przesywający krzyk Augie.

Czuję, jak bandaż okrywający lewą część mojej twarzy zsuwają się, mój własny krzyk rozluźnia

plastry, które je podtrzymują. Czuję, jak wątła, niedawno przeszczepiona skóra zaczyna się rozpadać. Jestem ledwie świadoma pielęgniarek i mamy, które do mnie przybiegają i wyrywają mi z dłoni telefon.

AUGIE

Spodnie nadal nie wyschły mi po tym, jak Noah Plum pchnął mnie z odśnieżonego chodnika prosto w śnieżną zaspę, kiedy rano wysiadłam z autobusu i szłam do szkoły. Noah Plum to największy dupek wśród wszystkich ósmoklasistów. Z jakiegoś powodu tylko ja to zauważyłam, choć mieszkam tu dopiero od ośmiu tygodni, a inni od urodzenia. Może z wyjątkiem Milany Nevary, której tata jest weterynarzem i pochodzi z Meksyku. Ale przeprowadziła się tu, kiedy miała dwa lata, więc to prawie tak samo, jak gdyby się tu urodziła.

W sali panuje lodowaty chłód, od którego drętwieją mi palce. Pan Ellery mówi, że pod koniec marca temperatura nie powinna spadać do zera i wyłączono już piec grzewczy. Pan Ellery, mój nauczyciel i jeden z niewielu plusów tej szkoły, siedzi przy swoim biurku i sprawdza klasówki. Wszyscy – oczywiście oprócz Noaha – piszą w zeszytach. Codziennie po lunchu zajęcia zaczynamy chwilą na prowadzenie dziennika i przez pierwsze dziesięć minut możemy pisać, o czym chcemy. Pan Ellery powiedział, że można powtarzać nawet jedno i to samo słowo, na co Noah zapytał, czy może być brzydkie.

– Pisz sobie, aż ci się znudzi – powiedział pan Ellery i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pan Ellery zawsze pozwala uczniom przeczytać, co napisali, jeśli tylko mają na to ochotę. Nigdy niczym się nie podzieliłam. Nie ma szans, żebym dała tym kretynom poznać, o czym myślę. Przeczytałam *Harriet szpieguje* i zawsze noszę swój zeszyt ze sobą. Nigdy nie spuszczam go z oczu.

W mojej starej szkole w Arizonie mój rocznik liczył dwustu ośmioro uczniów i mieliśmy różnych nauczycieli do każdego przedmiotu. W Broken Branch jest nas tylko dwadzieścioro dwoje, więc pan Ellery uczy nas właściwie wszystkiego. Pan Ellery, pomijając fakt, że jest bardzo przystojny, to bez dwóch zdań najlepszy nauczyciel, jakiego miałam. Jest zabawny, ale nigdy nie stroi sobie z nikogo żartów i nie jest sarkastyczny, choć wielu nauczycieli uważa, że to strasznie śmieszne. Nie pozwala też nikomu nabijać się z innych. Wystarczy, że utkwi w kimś wzrok, a ten od razu się zamyka. Nawet Noah Plum.

Pan Ellery zawsze zapisuje jakąś podpowiedź na białej tablicy, na wypadek gdyby nic nie przychodziło nam do głowy. Dziś napisał: „Podczas wiosennych ferii mam zamiar...”.

Dziś nawet wzrok pana Ellery’ego nie działa. Wszyscy szepczą i uśmiechają się, bo w końcu będziemy mieć wolne.

– No już, kochani – mówi pan Ellery. – Do roboty, a jeśli zostanie nam trochę czasu, zagramy w kalambury.

– Super! – Dzieciaki wokół mnie się cieszą. Otwieram notatnik na czystej kartce i zaczynam pisać.

„Podczas wiosennych ferii mam zamiar polecieć do Arizony, żeby zobaczyć się z mamą”. W sali słysząc jedynie szelest ołówków i Erikę, która irytująco pociąga nosem – zawsze ma katar i wstaje po chusteczkę ze dwadzieścia razy na dzień. „Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę śnieg i krowy. Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek zobaczę dziadka”. Mam wielką nadzieję, że po wiosennej przerwie mama będzie na tyle zdrowa, że nie wrócę do Broken Branch, tylko pojedę do domu. Dziadek mówi nam, że nie ma na to szans. Przed mamą jeszcze długa droga, zanim wróci do domu. Zostanie w Arizonie tak długo, aż wyjdzie ze szpitala i będzie w stanie wsiąść do samolotu, i przylecieć tutaj, żeby babcia i dziadek, których po raz pierwszy zobaczyłam dopiero parę miesięcy temu, mogli się nami wszystkimi zająć. Jednak to, co mówi dziadek, nie ma znaczenia – nie wracam do Broken Branch po wiosennej przerwie.

Gwałtowny trzask, jak gałąź złamana przez grad, sprawia, że podnoszę wzrok. Pan Ellery też słyszy ten dźwięk, wstaje więc zza biurka i podchodzi do

drzwi, wychodzi na korytarz i odwraca się, wzruszając ramionami.

– Ktoś chyba wybił szybę w oknie na końcu korytarza. Pójdę sprawdzić. Zostańcie w ławkach. Zaraz wrócę.

Zanim zdąży wyjść, przez szkolny radiowęzeł rozbrzmiewa drżący głos pani Lowell, szkolnej sekretarki.

– Nauczyciele, ogłaszam alarm czerwony z przymusowym zakazem opuszczania budynku. Proszę zająć bezpieczne pozycje.

Noah prycha.

– Proszę zająć bezpieczne pozycje – przedrzeźnia panią Lowell. Nikt inny nie odzywa się słowem. Wszyscy patrzymy na pana Ellery'ego i czekamy, aż powie nam, co robić. Nie jestem tu na tyle długo, by wiedzieć, co oznacza alarm czerwony. Ale na pewno nie oznacza nic dobrego.

PANI OLIVER

Tamtego ranka, kiedy do klasy wszedł mężczyzna z pistoletem, Evelyn Oliver miała na sobie dwie rzeczy, których podczas swojej czterdziestotrzyletniej kariery nauczycielskiej poprzysięgła nigdy nie założyć. Dżinsową sukienkę i dżety. Pani Oliver była przekonana, że nauczycielka powinna wyglądać jak nauczycielka. Schludne bluzki z kołnierzykami, spódnice i garniturowe spodnie starannie wyprasowane, wypolerowane eleganckie buty. Żadnych nonsensownych zwyczajów młodszych nauczycielek. Spódniczki mini, trampki, bluzki z dużym dekoltem. Na miłość boską: tatuaże! Na przykład pan Ellery, młody nauczyciel ósmej klasy, miał tatuaż na prawym ramieniu. Szereg wyraźnych czarnych maźnięć i wywijasów, które, jak zorientowała się pani Oliver, tworzyły azjatyckie litery. „To znaczy nauczyciel po chińsku”, wyjaśnił jej pan Ellery, który – o zgrozo – ubrany w T-shirt, pewnego upalnego sierpniowego popołudnia podczas tygodnia dyżurowego, kiedy wszyscy nauczyciele przygotowywali swoje sale na nowy rok szkolny, przyłapał ją, jak mu się przygląda. Pani Olivier westchnęła z dezaprobatą,

ale tak naprawdę zastanawiała się, jak bardzo musi boleć wstrzykiwanie sobie atramentu głęboko pod skórę.

Najgorsze były tak zwane „luźne piątki”, bo nauczyciele, nawet ci starszej daty, przychodzili do pracy w dżinsach i bluzach z logo szkolnej drużyny – Szerszenie z Broken Branch.

Jednak w ten niezwykle zimny, marcowy dzień, ostatni dzień szkoły przed wiosenną przerwą, pani Oliver założyła dżinsową sukienkę na szelkach, w której – teraz była tego pewna – przyjdzie jej umrzeć. Co za hańba, pomyślała. Po tylu latach idealnych plis i gryzących pończoch na żyłaki.

Tydzień wcześniej, kiedy wszyscy trzecioklasiści poszli do domu, pani Oliver otworzyła niepewnie pogniecioną torbę na prezenty w różowo-żółte paski, którą dała jej Charlotte – chuda, rozczochrana ośmiolatka o połyskująco czarnych, sięgających do ramion włosach, w których mieszkała uparta rodzina wszy.

– Co to takiego, Charlotte? – zapytała z zaskoczeniem pani Oliver. – Urodziny mam dopiero latem.

– Wiem – odparła Charlotte, ukazując w szerokim uśmiechu brakujące zęby. – Ale razem z mamą pomyślałyśmy, że teraz bardziej się pani przyda.

Pani Oliver spodziewała się znaleźć w środku świecę zapachową o jabłkowym aromacie, ciasteczka

domowej roboty albo ręcznie malowaną budkę dla ptaków, ale zamiast tego wyciągnęła sukienkę z wycieranego dżinsu, z dżetami misternie ułożonymi w kształt tęczy, która teraz połyskiwała w jej dłoniach. Charlotte patrzyła na panią Olivier wyciekając zza kurtyny grzywki, która przysłaniała jej zwykle figlarne, szare oczy.

– Sama ją ozdobiłam. Prawie sama – wyjaśniła Charlotte. – Mama pomogła mi z tęczą. – Położyła brudny palec na kolorowym łuku. – „Czemu Patrzysz Zielona Żabo Na Głupiego Fanfarona”. Czerwony, pomarańczowy, zielony, żółty, niebieski, granat, fiolet. Tak jak nas pani uczyła. – Charlotte błysnęła małymi, trzymającymi się twardo mleczakami.

Pani Oliver nie miała serca powiedzieć dziewczynce, że poprawna mnemonika na zapamiętanie kolorów tęczy zaczyna się od „Czemu Patrzysz Żabo Zielona”, ale pocieszyła się, że dziewczynka zna przynajmniej wszystkie kolory tęczy, nawet jeśli w złej kolejności.

– Jest śliczna, Charlotte – powiedziała pani Oliver, wyciągając przed siebie dżinsową sukienkę. – Widzę, że bardzo się napracowałaś.

– Tak – oświadczyła Charlotte uroczyście. – Zajęło mi to całe dwa tygodnie. Na początku chciałam ozdobić sobie tort urodzinowy, ale mama powiedziała, że może będzie pani częściej nosić tę sukienkę,

jeśli nie będzie wyglądać tak poważnie. Prawie skończyły mi się koraliki. Mój młodszy brat myślał, że to skittlesy.

– Bardzo mi się przyda. Dziękuję ci, Charlotte. – Pani Oliver wyciągnęła rękę, żeby poklepać Charlotte po ramieniu, na co dziewczynka momentalnie objęła obfitą talię kobiety i przycisnęła buzię do guzików jej wykrochmalonej bluzki. Pani Oliver poczuła, jak coś ją swędzi pod linią stalowoszarych włosów, ale oparła się chęci, by się podrapać.

To mąż pani Oliver, Cal, nakłonił ją, by założyła sukienkę.

– Co w niej złego? – zapytał tego ranka, kiedy zastał żonę przed otwartą szafą, gdy wpatrywała się w sukienkę, która posyłała jej równie uporczywe, migotliwe spojrzenie.

– Nie chcę zakładać dżinsu do szkoły, a już z pewnością nie zacznę go nosić tuż przed emeryturą – odparła, nie patrząc mężowi w oczy, pamiętała jednak, jak na początku tygodnia Charlotte wbiegła z podnieceniem do klasy, chcąc sprawdzić, czy jej nauczycielka założyła sukienkę.

– Trudziła się nad nią przez dwa tygodnie – przypomniał jej Cal przy śniadaniu.

– To nie przystoi nauczycielce – warknęła pani Oliver, myśląc o tym, jak ramiona Charlotte opadały niżej i niżej, kiedy wchodziła do klasy i zastawała

nauczycielkę w zwyczajowych wełnianych spodniach, bluzce i kardiganie...

– Pokrwawiła sobie palce – powiedział Cal z ustami pełnymi owsianki.

– Dzisiaj ma być minus dziesięć stopni. Za zimno na sukienkę – skwitowała pani Oliver ze smutkiem, przypominając sobie, jak poprzedniego dnia Charlotte nie chciała nawet spojrzeć w jej stronę, jak buntowniczo wydymała usta i odmawiała odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

– To pod spód załóż kalessony i golf – odparł jej mąż łagodnie, podchodząc do niej od tyłu i całując ją w szyję w taki sposób, że nawet po czterdziestu pięciu latach małżeństwa przesywał ją dreszcz przyjemności.

Ponieważ miał rację – a Cal zawsze miał rację – odgoniła go poirytowana i powiedziała, że jeśli zaraz się nie ubierze, spóźni się do szkoły. Ubrana w sukienkę wyszła, pozostawiając go przy kuchennym stole, pochylonego nad resztą owsianki, kawą i gazetą. Nie powiedziała mu, że go kocha, nie pocałowała na do widzenia jego pomarszczonego policzka.

Od życia, śmierci, tragedii zawsze dzieli nas tylko jeden krok, jeden oddech i czasem nie można nic na to poradzić.

Mieszkańcy Broken Branch próbują ustalić tożsamość napastnika z bronią, przetrzymującego w szkole ich dzieci jako zakładników. Na policjantce Meg Barrett spoczywa odpowiedzialność za uwięzione dzieci.

Will Thwaite, opiekujący się dwójką wnucząt, powierzonych mu niechętnie przez córkę, przypatruje się wszystkiemu bezradnie, zastanawiając się, czy znów zawiódł swoje dziecko.

Uwięziona w klasie nauczycielka Evelyn Oliver wyczekuje okazji, by uratować swoich uczniów. Zaś trzynastoletnia Augie Baker zmagająca się z konsekwencjami strasznego wypadku, zaryzykuje swoim życiem, aby ocalić młodszego brata.

Krucha normalność miasteczka zostaje zachwiana. Liczy się każda minuta, prawda musi zostać odkryta.

Heather Gudenkauf kolejny raz prowadzi czytelnika przez pełną emocji historię, od gniewu, przez wzruszenia, aż do jej oczyszczającego, szczęśliwego zakończenia.

Nazywana następczynią Jodie Picoult, Gudenkauf, jest z pewnością mistrzynią obyczajowych opowieści.



Drobne kłamstwa

Darmowy ebook,
wstęp do
Małych cudów

FILIA

cena 39,90 zł

ISBN: 978-83-8075-031-9

